James H. Schmitz

Pilnuj nieba

(Watch the Sky)

Analog, August, 1962.
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Ilustracje: Hortens.

Stary, pokiereszowany na wojnie, pistolet Geestów, należący do wujka Williama Bolesa, sprawiał wrażenie, że na jakimś etapie produkcji, dziwacznie go powyginano we wszystkie strony. Zachował się niemal bez uszkodzeń, w jednym kompletnym fragmencie. Miał dwie, krótkie i grube, bliźniaczo podobne lufy, całe porysowane i poznaczone dziobami, a do umocowanego za nimi, pustego magazynka, można było ładować standardowe zasobniki energetyczne. Do tego kolba, nadająca tej broni obcych, jej osobliwy wygląd. Miała prawie osiemnaście cali długości i w pewnym miejscu gwałtownie przekrzywiała się w prawo. Była zbyt cienka i miała zbyt wiele rozmaitych wypukłości, aby niezależnie od tego gdzie się ją uchwyciło, wygodnie pasowała do ludzkiej dłoni. Minęło już ponad pół wieku, odkąd zaciskały się na niej błoniaste i pozbawione kości palce jej pierwotnego właściciela, po raz ostatni rażącego śmiertelnym błyskiem promieniowania swoich ludzkich wrogów. Teraz wisiała nad kominkiem, na ścianie w salonie, pomiędzy innymi osobliwościami zebranymi przez wujka Williama.

A dzisiaj, jakieś osiem lat po śmierci wujka Williama, Phil Boles rzucając na nią ukradkowe spojrzenia, zmrużonymi z zadumy oczyma, myślał o tym, że ta stara wojenna pamiątka, spokojnie mogłaby się stać kluczowym czynnikiem w rozwiązaniu problemów kolonialnej planety Roye. Przesunął palcem po matowej, powyginanej konstrukcji, nachylił się bliżej, by odcyfrować wyrytą starannym pismem inskrypcję: TRROFEUM Z BITWY POD GUNDERLANDEM, ANNO 2172, SGT. WILLIAM G. BOLES. Po chwili, wychwytując uchem, znajomą serię stukoczących odgłosów, dobiegających z korytarza, szybko się wyprostował i odwrócił. Kiedy do pokoju wtoczył się fotel na kółkach ciotki Beulah, Phil siedział już przy niskim stoliku do herbaty, odwrócony plecami do kominka.

Szerokie elastyczne opony fotela, pozwoliły lekko wyprostowanej Beulah łagodnie pokonać trzy stopnie i zjechać do niżej położonej części salonu, pomimo jej dziewięćdziesięciu sześciu lat, które czyniły ją jedyną żyjącą osobą, z grona pierwotnych osadników, przybyłych na Roye z Ziemi. Postukała palcami po kilku klawiszach na poręczach fotela, zwinnie nim wykręcając i zatrzymując precyzyjnie tuż przy stoliku do herbaty.

– Dzwoniła Susan Feeney – zdała mu relację. – A jeśli chcesz wiedzieć, ona ma zupełnie inne zdanie, niż ty, z tą twoją opieką nade mną. Dalej, Phil, skończ wreszcie ten placek. Na pewno nie zaszkodzi takiemu silnemu mężczyźnie jak ty. Dam ci jeszcze parę ciasteczek, właśnie się pieką, zabierzesz ze sobą.

Phil uśmiechnął się.

– Twoje wypieki same w sobie warte są podróży z Fort Roye, ciociu.

Beulah wyglądała na zadowoloną.

– Przynajmniej mogę dzisiaj zrobić przynajmniej tyle, dla mojego stryjecznego praprawnuka, nieprawdaż?

Phil po chwili powiedział:

– Czy zastanawiałaś się może trochę nad…

– Przeprowadzką do Fort Roye? – Beulah zacisnęła swoje cienkie wargi. – Mój Boże, Phil, nie chciałabym cię znowu rozczarować, ale w miejskim mieszkaniu, czułabym się zupełnie nie na miejscu.

– Doktor Fitzimmons by się ucieszył – zauważył Phil.

– Och, ten! To kolejny stary dokuczliwy zrzęda. Chce mnie zaciągnąć do szpitala. Niedoczekanie jego!

Phil śmiejąc się pokręcił bezradnie głową.

– Pomimo wszystko, praca na ranczu tupy…

– Nonsens. Ranczo wymaga akurat tyle uwagi, by zabić trochę czasu. W każdym razie, i tak wszystko robią maszyny, a Susan zagląda tu każdego ranka, by trochę pogawędzić i upewnić się, że nadal ze mną wszystko w porządku. Nigdy oczywiście tego nie przyzna, ale jeśli tylko wbije sobie do głowy, że czymś trzeba się zająć, to cała rodzina Feeneyów zjawia się tu najpóźniej za godzinę, i to robi. Naprawdę nie ma powodu, żebyś co dwa miesiące przysyłał tu z Fort Roye, kilkunastu ludzi do zbierania tupy.

Phil wzruszył ramionami.

– Jak dotąd jeszcze nikt nie wymyślił żadnego prostego sposobu, na wykopywanie tych korzeni. A ZPK z chęcią dostarcza ludzi.

– Ponieważ jesteś jego prezesem?

– Ehem… hm.

– I naprawdę, nic cię to nie kosztuje? – z powątpiewaniem spytała Beulah.

– Ani centa.

****

– **H**mmm. Pozwól, że cię zapytam. To co stworzyłeś, ten… Związek Pracowników Kolonii?

Phil skinął potakująco głową.

– Tak, to oficjalna nazwa.

– Jakie były faktyczne powody jego utworzenia?

– Łatwo na to odpowiedzieć – powiedział Phil. – W dniu, w który populacja planety przekroczyła poziom czterdziestu tysięcy ludzi, Roye uzyskało prawo do utworzenia własnego związku zawodowego. Dlaczego więc nie mielibyśmy z niego skorzystać?

– A niby jakie są z tego korzyści?

– Choćby kwestia większych środków jakie dostaniemy z Ziemi. Na dwieście tysięcy członków ZPK, jakich mamy obecnie w Fort Roye, w tym miesiącu siedemdziesiąt pięć procent było bez pracy. Następnym statkiem przylecą zasiłki rekompensacyjne z Urzędu Terytorialnego. – Uśmiechnął

się szeroko, widząc wyraz jej twarzy. – Oczywiście, chłopaki *mogliby* wrócić na rancza tupy. Ale nie każdy lubi takie życie, tak jak ty, czy Feeneyowie.

– I rząd Ziemi naprawdę pozwoli, by uszło wam to płazem? – z ciekawością spytała Beulah. – Przecież zawsze znani byli ze swojej ciężkiej ręki.

– I nadal są znani… ale takie jest prawo. Nawiasem mówiąc, Urząd Terytorialny płaci również pensję prezesom wszystkich ZPK. W tej chwili nie wyciągam zbyt wiele, ale płaca pójdzie w górę, wraz ze wzrostem liczby członków i nowymi obowiązkami.

– Jakimi obowiązkami?

– Na razie stworzyliśmy organizację szkieletową – wyjaśnił Phil. – Teraz, kiedy w końcu rząd Ziemi, być może zdecyduje się na utworzenie tu wielkiej bazy wojskowej, będą potrzebować w ciągu paru miesięcy stu tysięcy cywilów, aby bez problemów i zamieszania, wszystko przystosować do w warunków panujących na Roye. To jest prawdziwy powód tej całej ich hojności.

Beulah prychnęła z niedowierzaniem.

– Wielka baza, już to widzę! Odkąd tu przybyłam, nie było jeszcze takiego półrocza, żeby ktoś nie zaczął opowiadać, że Fort Roye ma zostać przekształcone w bazę wojskową klasy A, i to już w najbliższym czasie. Phil, nie obraź się, ale to się nigdy nie stanie. Roye jest rolniczą planetą, i taką już zostanie.

Phil wydął wargi.

– No cóż, nie traćmy nadziei.

– *Ja* nie pragnę żadnych zmian – powiedziała Beulah. – Podoba mi się Roye, taka jaka jest.

Spojrzała na przycisk na poręczy fotela, który właśnie zaczął pobłyskiwać lekkim jasnoniebieskim światełkiem.

– Ciasteczka są gotowe – oznajmiła. – Phil, czy jesteś pewny, że nie możesz zostać na kolacji?

Phil spojrzał na zegarek i pokręcił przecząco głową.

– Bardzo bym chciał, ale naprawdę muszę już wracać.

– A więc pójdę zapakować trochę ciasteczek dla ciebie.

Beulah wykręciła fotelem, i ruszyła nim po schodkach w górę, a potem wyjechała przez drzwi. Phil szybko poderwał się na nogi. Podszedł do kominka, rozłożył płaszcz i odpiął od jego wewnętrznej podszewki elastyczny przedmiot w kształcie płaskiego pudelka. Położył go na płaszczu i przekręcił o pełny obrót w prawo, jedną z trzech małych gałek znajdujących się na jego przedniej ściance. W tej samej chwili, ze wszystkich czterech rogów pudełka wyskoczyły nóżki, podnosząc je z płaszcza w górę, tak że stało się jakby miniaturowym stolikiem. Phil rzucił spojrzenie w kierunku drzwi, za którymi znikła Beulah, przez chwilę uważnie nasłuchiwał, a następnie zdjął ze ściany pistolet Geestów, położył go ostrożnie na wierzchu urządzenia, i przekręcił drugie pokrętło.

Dziwacznie wyglądająca broń, powoli zaczęła się zapadać, przenikając przez powierzchnię urządzenia Phila, jak tonący w błocie kamień. Po kilku sekundach zupełnie znikła, a chwilę później, zaczęła wyłaniać się po

spodniej stronie pudełka. Phil poczekał aż pistolet Geestów spadnie w jego dłoń, odwiesił go na ścianę, dokładnie w tym samym miejscu w którym znajdował się wcześniej, po czym przekręcił trzecią gałkę. Pudełko wciągnęło swoje podpory i opadło na płaszcz. Phil przypiął je z powrotem do podszewki płaszcza, złożył go i stanął na środku pokoju, czekając aż ciocia Beulah wróci ze ciasteczkami.

****

To naprawdę interesujące, że kilka śmiałych umysłów, mogło być wszystkim, co było potrzebne do zupełnej odmiany losów całej planety, rozmyślał kilka chwil później Phil Boles, kiedy jego samochód powietrzny leciał w górze ponad skalistym, bezlitośnie chłostanym przez fale, brzegiem morza. Wystarczyło kilka umysłów z wyobraźnią, by dostrzec jak można odmienić, otaczające ich warunki.

Po jego lewej ręce widać było już płaską wstążkę, leżącego niemal na poziomie morza półwyspu. Jego wąski początkowo koniec, rozbiegał się i wypiętrzał tworząc szeroki i skalisty cypel, na którym leżało Fort Roye –– jedyne miasto na planecie większe, zarówno pod względem rozmiarów jak i znaczenia, od obskurnych leśnych osad. Ale tak naprawdę Fort Roye ani nie było duże, ani nie miało specjalnego znaczenia. Baza wojskowa Klasy F, wokół której w ciągu lat stopniowo rozrosło się, luźno porozrzucane miasteczko, Fort Roye, była typowym dla ery kosmicznej punktem handlowym, wiążącym mieszkańców Roye z potężną planetą matką, i posterunkiem, z którego okresowo i bez przeszkód można było patrolować, inaczej kompletnie pusty i zupełnie nieistotny, 132 Segment Terytoriów Kosmicznych. I nie była niczym więcej. Dwa razy w miesiącu, w niewielkim porcie kosmicznym, lądował statek z Ziemi, dostarczając zapasy, zakupy, sporadycznie grupy żołnierzy, którym zmieniano przydział, i cywilów. Ci ostatni, jak podejrzewano, z reguły byli wyciągani spośród posiadających na Ziemi klasyfikację „Niepożądani”. Statek odlatywał w kilka dni później, z ładunkiem powrotnym, złożonym z kilku lokalnych produktów, na które był popyt poza planetą, przede wszystkim z wartościowych pod względem medycznym korzeni tupy. Potem Fort Roye mogło dalej pławić się w błogim spokoju.

Kolonizacja planety nie była błędem. Zasadniczo, miała ona wszystko co było potrzebne do tego, by stać się prosperującą kolonią, w każdym tego słowa znaczeniu. Wszystkiemu winna była Wojna z Geestami. Miała ona okresy, w których wybuchała potężnym płomieniem, i okresy, w których zdawała się przygasać. W czasie ostatniej dekady, właśnie ponownie przygasła. Jednym z wczesnych jej wybuchów, jednym z najgorszych, i w dodatku tym, który przyniósł płomień wojny najbliżej samej Ziemi, była bitwa pod Gunderlandem, w której zdobyty został pistolet, trofeum wujka Wiliama Bolesa. Nigdy jednak nawet się nie zbliżyła do Roye. Jej teatrem, była dokładnie przeciwległa część

gigantycznej sfery Terytoriów Kosmicznych, a przez lata wojna stopniowo oddalała się w przeciwnym kierunku.

A w związku z tym, całe ogromne bogactwo Ziemi, jej siła robocza, materiały i pieniądze, pompowane były w kosmosie w kierunku, w którym przemieszczała się wojna z Geestami. Planety, nawet nie w jednej dziesiątej tak atrakcyjne jak Roye, planety na których podstawowe warunki dla przetrwania życia ludzkiego, były tuż powyżej punktu niemożliwych do zniesienia, były zasiedlane i utrzymywane, wyposażane we wszystko, czego tylko zechciały, tylko po to, aby zamienić je w samowystarczalne gigantyczne twierdze, a ich mieszkańcy nie burzyli się z powodu swojego losu. Kiedy rząd Ziemi nie liczył się z wydatkami, życie niemal w każdym miejscu mogło stać się znacznie bardziej niż znośne.

I takie właśnie były przyczyny, które skazały Roye na utratę znaczenia. Nie każdy zdawał sobie z tego sprawę. On, Phil Boles, rodowity syn tej ziemi, rozumiał to doskonale. Miał skłonności do manipulowania innymi, a nie dawano mu odpowiedniej okazji, do tego by mógł je ćwiczyć. A więc okoliczności musiały ulec zmianie, a szczególny czas dla dokonania tej zmiany właśnie się zbliżał. Sam Phil nie był co prawda świadom wszystkich czynników, związanych z tą sytuacją, ale wiedział o dostatecznie wielu z nich. Na Ziemi, pewna polityczna sprawa, zmierzała właśnie w kierunku krawędzi szczególnej niestabilności. Na skutek tego, kilka dni temu, w Fort Roye, wylądował statek z Ziemi, który nie był jednym z regularnie kursujących tu frachtowców. Pośród jego pasażerów byli Komisarz Sanford z Urzędu Terytorialnego, dobrze znany polityk, i pan Ronald Black, popularny i przedsiębiorczy posiadacz drugiego co do wielkości na Ziemi, systemu rozpowszechniania wiadomości. Udali się we wspólną podróż, w celu zebrania informacji na temat luźno porozrzucanych kolonii w tej odległej części Terytoriów, i w końcu dotarli do najodleglejszego ze wszystkich, 132 Segmentu i Roye.

To był pierwszy z czynników. Kolejny z nich, Phil mógł właśnie zobaczyć dwadzieścia tysięcy stóp poniżej. Teraz kiedy samochód powietrzny po raz trzeci dostojnie przelatywał nad środkową częścią półwyspu, znajdował się on niemal bezpośrednio pod nim. Z wysokiego pułapu, wyglądał jak nieregularne brązowe koło, wyraźnie odznaczając się na tle prawie białego piasku półwyspu. Z niższego, najbardziej chyba przypominał połamaną i na wpół porozbijaną spiralę muszli gigantycznego ślimaka, z podstawą głęboko zatopioną w ziemi i postrzępionym wierzchołkiem, wznoszącym się na wysokość dwunastu pięter. Budowla ta, popularnie określana była w Fort Roye jako „ruiny”. Przypuszczano że była ostatnim bastionem na wpół inteligentnej rasy tubylczej na Roye, która prawdopodobnie wymarła mniej więcej wiek przed przybyciem Ziemian. Z kolei czynnik związany z ruinami, polegał na tym, że ich badania były hobby, któremu namiętnie oddawał się porucznik Norman Vaughn, Oficer Naukowy Fort Roye.

Dodajmy do tych rzeczy powody dla których ziemscy stratedzy nie uznawali za konieczne podjęcia poważniejszych wysiłków obronnych na Roye –– olbrzymie odległości od wszystkich regionów, w których spodziewano się kłopotów i absolutnie kompletne nieprawdopodobieństwo

tego, że okręt Geestów mógłby znaleźć się dostatecznie blisko, aby odkryć, że była to kolejna planeta dobrze przystosowana do życia zarówno dla ich rasy, jak i dla istot ludzkich. I wreszcie czynnik ostatni, urządzenie przypięte do podpinki płaszcza Phila –– bardzo specjalny „aparat fotograficzny”, który przechowywał obecnie zapis wrażeń zmysłowych, wywoływanych przez pamiątkową broń wujka Williama. Składając to wszystko razem, jak z entuzjazmem rozmyślał Phil, wyczarują one w najbliższej przyszłości ciekawe możliwości rozwoju dla Roye.

Ponownie spojrzał na zegarek, zawrócił samochodem powietrznym, i skierował się z powrotem w stronę lądu. Plantacja tupy ciotki Beulah, podobnie jak i rodziny Feeneyów, znajdująca się dwie mile dalej, pod górę, stopniowo przesunęły się na wschód, i dalej przez dwadzieścia minut leciał wzdłuż obszarów położonych nad brzegiem morza. Tutaj, w dzikim pozbawionym farm regionie, położony na krawędzi wysokiego klifu, opadającego niemal dziewięćset stóp w dół, w stronę wirujących spienionych fal przypływu, stał niewielki dobrze utrzymany domek, będący własnością małej szczupłej damy mieszkającej w Fort Roye, o nazwisku Celia Adams. Celia przyleciała tu z Ziemi sześć lat temu, niemal na pewno jako Niepożądana, chociaż o tym mogli wiedzieć jedynie Urząd Terytorialny oraz sama Celia. Ten aspekt kolonii karnych, na światach takich jak Roye, traktowany był przez Ziemię z pewną dozą taktu.

****

Phil podleciał do domku jedynie ma tyle blisko, aby się upewnić się, że zaparkowany był przed nim ciemnozielony samochód powietrzny, należący do majora Wayne’a Jacksona, Oficera Administracyjnego i zastępcy komendanta Fort Roye. Był on kolejnym rodowitym mieszkańcem planety i starym znajomym Phila. Potem zawrócił i dziesięć mil dalej na południe, obniżył lot chowając się w lesie, a następnie wykonał drugie, bardziej skryte podejście, pod osłoną drzew. Na tym terenie mogli się trafić jacyś przypadkowi obserwatorzy, a chociaż jego dzisiejsze spotkanie z Jacksonem i Celią Adams, niczego jeszcze nie zdradzało, lepiej byłoby, gdyby nikt o nim nie wiedział.

Wylądował samochodem w lesie, kilkaset jardów od domku Celii, przewiesił przez ramię strzelbę i ruszył w drogę zarośniętą ścieżką. Dookoła znajdowały się obszary łowieckie i gdyby wpadł na kogoś obcego, strzelba mogłaby tłumaczyć jego obecność. Kiedy doszedł do miejsca, z którego widać było już domek, stwierdził, że Celia i jej gość siedzą z tyłu, na osłoniętym patio, a przed nimi stoją drinki. Jackson ubrany był w strój myśliwski. Phil cicho poczekał miedzy drzewami, obserwując przez kilka sekund pozostałą dwójkę, doświadczając ostatnich rozterek i wahań przed wykonaniem nieodwracalnego kroku. Przez jego umysł przewędrowało z wolna szereg spraw.

Ich plan był naprawdę poważną rzeczą. To był przekręt, który powinien przynieść daleko idące skutki, na gigantyczną skalę. A gdyby rząd Ziemi domyślił się, że został oszukany, sprawa mogła stać się bardzo nieprzyjemna. Twardogłowi biurokraci z centrali, zazwyczaj nie zawracali sobie głowy zbieraniem dowodów przeciwko tym, których o coś podejrzewali. Wystarczyło samo podejrzenie. Poszczególne osoby, czy grupy ludzi, na których padł cień wątpliwości, spychani byli niemal mimochodem na boczne tory egzystencji i tam już pozostawali. Wygrzebanie się z takiego położenia i powrót do gry, były bardzo trudne.

W głębi świadomości, Phil doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale w konfrontacji z wyrastającym ze wspaniałej bezczelności planu podekscytowaniem, wydawało się to kompletnie bez znaczenia. Ta, może nieco chłopięca lubość, że dało się przeprowadzić jakieś zyskowne przedsięwzięcie, pomimo potęgi i władzy przeciwników, naprawdę podniecała. Nawet w tej chwili, jego rozterki wynikały raczej tylko z naturalnej ostrożności, która nakazywała, w tym ostatnim momencie refleksji, wziąć pod uwagę istniejące zagrożenia. Oczywiście, nie chciał ściągać na siebie dezaprobaty rządu Ziemi. Ale czemu miałoby się tak stać? Na całym Roye, o wszystkim wiedziały jedynie trzy osoby –– Wayne Jackson, Celia Adams i on sam. Cała trójka miała coś do zyskania, każde na swój sposób, a wszyscy byliby na równi odpowiedzialni za cały przekręt. Nie ma więc szansy na niedyskrecję, albo spóźniony żal. W każdym przypadku oznaczałoby to przekreślenie również i własnych interesów.

A ze strony innych ludzi zaangażowanych w przedsięwzięcie, niebezpieczeństwo zdrady było znikome. Ich korzyści były dużo większe, ale w związku z tym, mieli również dużo więcej do stracenia. Powinni podjąć wszystkie niezbędne kroki, aby zapewnić im swoją ochronę, i zrobić wszystko co się tylko da, w celu zapewnienia opieki Philowi Bolesowi.

****

– **W** jaki sposób udało ci się to wszystko przeszmuglować na Roye? – spytał Phil. Jednym haustem wypił połowę drinka, który podała mu Celia i teraz, w kilka minut później, zaczynał odczuwać to, co w innych okolicznościach, mogłoby zostać określone jako przyjemna jasność umysłu. Nie do końca jednak usunęła ona świadomość, że właśnie teraz będzie musiał zaangażować się w działania, z których nie będzie już odwrotu.

Celia odrzuciła z czoła niepokorny kosmyk czerwono-brązowych włosów, i spojrzała na niego. Miała szczupłą, ładną twarz, której wrażenie psuły nieco oznaki stanowczości dookoła ust –– w tej chwili nieco bardziej widoczne niż zazwyczaj. Phil stwierdził, ze musiało ją dręczyć napięcie, podobne do tego jakie sam odczuwał, i pewnie dokładnie z tych samych

powodów. Nie był tego już taki pewien w odniesieniu do majora Wayne'a Jacksona, wielkiego, swobodnie zachowującego się mężczyzny, ze spokojnym uśmiechem na twarzy i przyjemnym, pewnym głosem. Głos może nieco zbyt mocno wpadał mu w serdeczne tony, ale to było wszystko.

– Nie zrobiłam tego – odparła Celia. – To należało do Franka. Jak mu się udało załatwić, że przywieziono to z Ziemi razem z nim –– lub za nim – – nie mam pojęcia. Nigdy mi tego nie powiedział. Kiedy umarł kilka lat temu, przejęłam to wszystko po nim.

Phil z namysłem przyglądał się rządkowi tajemniczych urządzeń, pokrywających przed nią niemal połowę stołu. „Aparat fotograficzny", którym zrobił odbitkę broni Geestów, w saloniku cioci Beulah, pochodził z tego właśnie zestawu, i teraz stał się wewnętrznym elementem największego z urządzeń.

– Jak to ustrojstwo się nazywa? – zapytał.

Celia sprawiała wrażenie z lekka poirytowanej. Jackson jednak roześmiał się i powiedział:

– Dlaczego by mu nie powiedzieć? Phil czuje się tak samo jak my sami –– to ostatnia szansa, aby wszystkiemu jeszcze raz się przyjrzeć, upewnić się, że nikt nie nawalił, sprawdzić czy czasami coś nie poszło źle. Nieprawda, Phil?

Phil przytaknął głową.

– Coś w tym stylu.

Celia przygryzła wargę.

– W porządku – powiedziała. – Wydaje mi się, że to i tak nie ma znaczenia, przynajmniej w porównaniu s innymi sprawami. – Popukała palcem w jedno z urządzeń. – Ta maszyna to duplikator. Ten egzemplarz ma już około sześćdziesięciu lat. Są one utajnione jako urządzenia pozwalające na dokonywanie fałszerstw, i ich posiadanie, budowa lub użycie przez osoby prywatne jest zdecydowanie nielegalne.

– A dlaczegóż to?

– Ponieważ fałszerstwa, to generalnie wszystko, do czego się nadają. Frank był jednym z najlepszych fachowców zajmujących się tymi sprawami, dopóki pewnego pięknego dnia nie stwierdził, ze znajduje się na liście przeznaczonych na zsyłkę.

Phil zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Ale jeśli to urządzenie jest w stanie skopiować każdy wyprodukowany przedmiot…

– Może to zrobić. Ale koszty są średnio pięćdziesiąt razy wyższe, niż w przypadku zwykłej reprodukcji, bez jego użycia. Użycie duplikatora nie ma sensu, chyba że chcesz uzyskać kopię, która jest całkowicie nie do odróżnienia od oryginału.

– Rozumiem. – Phil milczał przez chwilę. – Po sześćdziesięciu latach…

– Nie martw się Phil – wtrącił Jackson. – To urządzenie jest w doskonałym stanie. Sprawdziliśmy je na wielu próbkach.

– Skąd wiecie, że kopie rzeczywiście były nie do odróżnienia?

Celia odparła z niecierpliwością.

– Ponieważ ta maszyna właśnie w ten sposób działa. Kiedy broń Geestów przeszła przez płytę modelu, została dokładnie przeanalizowana, co do każdej najdrobniejszej molekuły. Na podstawie tej analizy zostanie teraz zbudowany duplikat. Każdy kawałeczek, każdego elementu użytego w oryginale, zostanie teraz z powrotem dokładnie odtworzony. Jak myślisz, dlaczego to cholerstwo jest takie drogie?

****

Phil wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– W porządku, udało się wam mnie przekonać. W jaki sposób pozbędziemy się tej inskrypcji?

– Ta maszynka da sobie z tym radę – odparł Jackson. – Odetnie ten brzeg, przekształci obciętą powierzchnię, aby pasowała do reszty. – Uśmiechnął się. – Dzięki temu życie ziemskiego fałszerza może stać się naprawdę łatwe, co?

– I takie jest, dopóki go nie capną – krótko ucięła Celia. Skończyła swojego drinka, odstawiła kieliszek na stół i dodała: – My również mamy do ciebie kilka pytań, Phil.

– Oryginał broni – powiedział Jackson. – Według ciebie, nie ma najmniejszego powodu, żeby oczekiwać dochodzenia. Ale gdyby mimo wszystko zaczęło się toczyć, nasze głowy nie będą wiele warte, jeżeli nie pozbędziemy się tego dosyć oczywistego dowodu winy.

Phil wydął wargi.

– Tym bym się specjalnie nie przejmował. Poza Beulah nikt nie ogląda kolekcji osobliwości wujka Williama. Większość z nich to po prostu kompletne śmieci. I prawdopodobnie tylko ona, wy i ja wiemy, że wśród tych rzeczy znajduje się broń Geestów. Wszyscy kumple Williama poumierali jeszcze przed nim. A gdyby pistolet zniknął teraz, Beulah mogłaby narobić hałasu. A to –– ponieważ rząd Ziemi spowodował, że posiadanie artefaktów Geestów jest nielegalne –– mogłoby przyciągnąć czyjąś uwagę.

Jackson w zamyśleniu dotknął podbródka, mówiąc:

– Oczywiście zawsze znajdzie się jakiś sposób, aby się upewnić, że Beulah nie narobi kłopotów.

Phil zawahał się lekko.

– Doktor Fitzsimmons daje Beulah jeszcze co najwyżej trzy miesiące – powiedział. – A za niemal cud będzie uważał, jeżeli najpóźniej w ciągu następnych ośmiu tygodni, nie wyląduje ona w szpitalu. Powinno to być jeszcze na tyle wcześnie, żebyśmy mogli zaopiekować się bronią.

– Powinno być – zgodził się Jackson. – Jednak, gdyby jakimś trafem śledztwo rozpoczęło się wcześniej…

Phil spojrzał na niego, a potem odparł spokojnym, równym głosem:

– Wtedy zrobimy wszystko co będzie konieczne. To nie będzie specjalnie przyjemne, ale mój tyłek siedzi w tym równie głęboko, jak twój.

Celia roześmiała się.
– Z tego właśnie powodu, możemy czuć się dosyć bezpiecznie – zauważyła. – Wszyscy tu obecni, co do jednego, jesteśmy kompletnie samolubni, a w tej sytuacji nikomu nie można ufać bardziej, niż komuś takiemu.
Jackson lekko poczerwieniał i uśmiechnął się spoglądając na Phila. Phil wzruszył ramionami. Major Wayne Jackson, rodzony syn tej ziemi, zastępca dowódcy Fort Roye, przewidziany był jako numer jeden w łańcuchu awansów, w przypadku przeniesienia obecnego dowódcy, pułkownika Thayera. Ich wspólnicy na Ziemi, mogli to zaaranżować natychmiast, kiedy tylko podjęta zostanie decyzja o przekształceniu Fort Roye w bazę wojskową klasy A. Sam Phil mógł spodziewać się gwarancji pozostania na stanowisku prezesa CLU i zwiększającej się z roku na rok liczby członków, dochodzącej do pół miliona ludzi, a może nawet więcej. Dzięki temu, faktycznie mógłby żyć bardzo wygodnie. Celia Adams mogłaby stworzyć dyskretny system pozwalający w przyszłości na kontrolę każdego, najmniejszego nawet przekrętu, oparty na żelaznej protekcji i wymuszonym braku jakiejkolwiek konkurencji.
– Wszyscy myślimy jedynie o przyszłości Roye, Celio – przyjaźnie powiedział Phil, – każde z nas na swój sposób. A przyszłość wygląda dosyć jasno. Faktycznie, jedyna rzecz która może przeszkodzić naszym planom, jaką jestem w stanie dostrzec, znajduje się tu, na Roye. Jest nią uczciwy Silas Thayer. Jeżeli nasz pułkownik jutro ukryje fakt odnalezienia broni Geestów…
Jackson wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokręcił przecząco głową.
– To już zostaw mnie, mój chłopcze –– i naszym wielce szanownym gościom z Ziemi. Zaaranżowałem już, że jutro przez cały dzień, komisarz Sanford będzie w towarzystwie Thayera załatwiał sprawy Urzędu Terytorialnego. Oficer naukowy Vaughn szaleje z zachwytu, ponieważ Ronald Black i większość z grupy zbieraczy wiadomości, będzie rano zwiedzać jego wykopaliska w ruinach. Obiecali mu przy tym szerokie nagłośnienie na Ziemi jego teorii dotyczących zniknięcia tubylców z Roye. Tak się jakoś przytrafiło, że Black poprosił mnie o towarzyszenie całej wycieczce. Pomiędzy Blackiem, Sanfordem –– no i oczywiście mną –– pułkownik Silas Thayer nie ma najmniejszej szansy wyciszenia odkrycia na Roye broni Geestów, do czasu aż wojsko nie będzie mogło dokładnie przyjrzeć się całej sytuacji. A jedyną osobą, którą będzie mógł za to winić, jest oficer naukowy Norm Vaughn, w stosunku do którego, przyznaję to, czuję się nieco winny.

****

Porucznik Norman Vaughn uczuciowym i sfrustrowanym młodym człowiekiem, któremu grube szkła kontaktowe i szerokie usta, nadawały spore podobieństwo do melancholijnej żaby. Podejrzewał, zresztą całkiem

słusznie, że dobry oficer naukowy, nie zostałby wysłany z Ziemi na Roye, która była planetą całkowicie pozbawioną problemów naukowych, jakiejkolwiek istotniejszej wagi, i skąd zapotrzebowania na środki dla celów badawczych były przyznawane rzadko i krańcowo niechętnie.

Wielkie spiralne ruiny położone na półwyspie Fort Roye, były jedyną pociechą Vaughna. Wiadomo było również o kilku innych podobnych opuszczonych budowlach znajdujących się na planecie, ale ta była zdecydowanie w najlepszym stanie, i bez wątpienia zbudowano ją najpóźniej. Dla niego, bardziej niż dla kogokolwiek innego, było absolutnie oczywiste, że budowla została wzniesiona w określonym celu i zgodnie z przemyślanym planem. Stopniowo zgromadził więc potężne stosy notatek, mających wspierać postawioną przez siebie teorię, że tajemniczy zaginieni budowniczowie, posiadali stopień inteligencji, zbliżony do ludzkiego. Niestety, ich ciała okazały się być pozbawione wszelkich twardych i trwałych elementów, ponieważ nie udało się odnaleźć niczego, co mogłoby zostać zinterpretowane jako ich szczątki. Również to, co porucznik Vaughn uznał za niezaprzeczalne artefakty, na poziomie bardzo wczesnych narzędzi ludzkich, dla innych wyglądało jak przypadkowe odłamki i kawałki opoki, wapiennego materiału, z którego zbudowane były same ruiny.

Dlatego chociaż Vaughn –– jak to określił Jackson –– naprawdę szalał wręcz z zachwytu, kiedy Ronald Black, gigant ziemskich mediów informacyjnych, zainteresował się ruinami i jego teoriami na ich temat, uczucie to bardzo szybko zaczęło mieszać się z dotkliwym niepokojem. Jeżeli gości nie przekona to, co im pokaże, taka szansa z pewnością nigdy więcej już się nie powtórzy. A co –– właściwie –– miał im do pokazania? Rano, kiedy cała grupa wyruszyła, widać było, że Vaughn był w bardzo nerwowym nastroju.

Dwie godziny później Vaughn wpadł do poczekalni w biurze dowódcy bazy w Fort Roye, gdzie dyżurny podoficer rozpoznał go z najwyższym trudem. Jego oczy lśniły spoza grubych soczewek, twarz była czerwona z emocji i roześmiana od ucha do ucha. Przemknął obok zaskoczonego podoficera, szarpnięciem otworzył drzwi do wewnętrznego gabinetu, w którym siedział pułkownik Thayer, razem z Komisarzem Terytorialnym, odwiedzającym placówkę, i wpadł do środka.

– Sir – podoficer usłyszał że głos mu drży i nie może złapać oddechu, – mam dowód, dowód nie do podważenia! Oni byli istotami inteligentnymi. Nie wymarli z powodu zarazy. Zostali eksterminowani w wyniku wojny! Zostali… ale niech pan zresztą sam zobaczy! – W tym memencie rozległ się głuchy odgłos uderzenia, kiedy rzucił coś na wypolerowany blat stołu, pomiędzy komisarzem i pułkownikiem Thayerem. – To zostało wykopane tuż przed chwilą, pomiędzy ich własnymi artefaktami!

Silas Thayer już był na nogach, wciągając powietrze i przygotowując się do wybuchu, który miał wymieść nieudolnego oficera naukowego z jego biura. Powstrzymał go dziwny, zdławiony jęk, wydobywający się z gardła komisarza Sanforda. Spojrzenie pułkownika przebiegło po jego gościu, a następnie podążyło śladem jego wzroku, w stronę leżącego na stole przedmiotu.

W jednej chwili, pułkownik Thayer zastygł bez ruchu.

Vaughn bełkotał dalej:
– I, sir, ja…
– Zamknij się! – Warknął ostro Thayer. Sam natychmiast mówił dalej: – Twierdzi więc pan, że ta rzecz została znaleziona w wykopaliskach w ruinach?
– Tak jest, sir… właśnie przed chwilą! To jest…
Porucznik Vaughn powstrzymał się, pod kamiennym spojrzeniem pułkownika, a na jego zarumienionej twarzy, zaczął pojawiać się cień świtającego zrozumienia, tego że stwierdził jakieś niesamowite odstępstwo od normalności. Z niepewnością oblizał wargi językiem.
– Proszę mi wybaczyć na chwilę, sir – powiedział Thayer do komisarza Sanforda. Ostrożnie podniósł pistolet Geestów, za jego trudną do pomylenia, zakrzywioną kolbę, zaniósł go do znajdującego się w biurze sejfu, włożył do środka i zamknął sejf. Potem wyszedł pośpiesznie z biura.

****

Po wyjściu do sąsiedniego pomieszczenia, Thayer wystukał na komunikatorze numer kodowy majora Wayne’a Jacksona. Usłyszał ciche klikniecie, w momencie gdy włączył się głośniczek na nadgarstku Jacksona, i pośpiesznie powiedział:
– Wayne, czy możesz teraz rozmawiać?
– W każdej chwili – ostrożnie odpowiedział głos Jacksona.
Pułkownik Thayer, zaczął opowiadać:
– Właśnie wpadł tu z trzaskiem Norm Vaughn, z czymś, co jak twierdzi, znalazł podczas wykopalisk. Widział to również Sanford, i oczywiście rozpoznał. Być może uda mi się zamknąć mu gębę. Teraz jednak mam kilka pytań. Czy rzeczywiście ta rzecz została właśnie wykopana?
– Najwyraźniej tak było – odparł Jackson. – Osobiście nie widziałem, jak to się stało… Akurat wtedy rozmawiałem z Blackiem. Jest jednak kilkunastu świadków, którzy twierdzą że to widzieli, włączając również pięciu czy sześciu ludzi z agencji informacyjnej.
– I oni wiedzą, co to jest?
– Spora część z nich, tak.
Thayer zaklął cicho pod nosem.
– Nie ma żadnej możliwości, że ktoś z nich podrzucił tę rzecz na terenie wykopalisk, żeby zmontować sensację dla widowni na Ziemi?
– Obawiam się, że nie – odpowiedział Jackson. – To leżało w przesiewaczu, po tym jak została wydmuchnięta z niego cała masa piasku i pyłu.
– Dlaczego od razu mnie nie zawiadomiłeś?
– Zajmowałem się tu powstrzymywaniem czegoś w rodzaju buntu, Silas. Vaughn zmył się zanim udało mi się go powstrzymać, ale uziemiłem pozostałe samochody powietrzne, dopóki nie zadecydujesz co robić dalej.

Naszym gościom to się nie spodobało. Również nie spodobało im się, że ustawiłem straże w części, w której miało miejsce znalezisko, i nie pozwoliłem im rozmawiać z ekipą pracowników Norma.

– Ronald Black i jego ludzie zachowywali się całkiem rozsądnie, ale pozostali podnieśli potężne larum na temat wojskowej arogancji i despotyzmu. To pierwsza wolna chwila, jaką znalazłem.

– No tak… chyba zrobiłeś dobrze – powiedział w końcu Thayer. – Wątpię jednak, aby w tej sytuacji specjalnie to pomogło. Czy możesz dać mi Ronalda Blacka?

– Tak, jest tu w pobliżu…

– Pułkownik Thayer? – po kilku sekundach uprzejmie zapytał inny głos.

– Panie Black – ostrożnie powiedział pułkownik, – to co kilka minut temu stało się na terenie wykopalisk, może zmienić się w sprawę o olbrzymim znaczeniu.

– To najzupełniej oczywiste, panie pułkowniku.

– A więc w związku z tym – kontynuował pułkownik, – jak pan myśli, czy byłoby możliwe, zawarcie ze wszystkimi świadkami dżentelmeńskiej umowy, dotyczącej tego że nikt nie wspomni o sprawie tego domniemanego odkrycia, dopóki informacja ta nie zostanie rozpowszechniona właściwymi kanałami? Pytam tylko o pańską opinię.

– Panie pułkowniku – ciągle uprzejmie odparł głos Ronalda Blacka, – moja opinia jest taka, że jedynym sposobem jakim mógłby pan utrzymać całą tę sprawę w tajemnicy, jest aresztowanie wszystkich obecnych tu cywilów, włączając w to mnie samego, i zatrzymanie nas w ścisłej izolacji. Pan ma zwoje obowiązki, a my mamy swoje. W skład naszych nie wchodzi ukrywanie przed społeczeństwem informacji, która może być sygnałem największego przemieszczenia obszaru walk w wojnie z Geestami, w czasie ostatnich dwudziestu lat.

– Rozumiem – powiedział Thayer. Milczał przez kilka sekund, a być może również przez ten czas spoglądał oczyma duszy na przyszłość Fort Roye –– bazy wojskowej klasy A, pozostającej pod jego dowództwem, z wielkimi ziemskimi okrętami bojowymi spoczywającymi wzdłuż całej długości półwyspu.

– Panie Black – w końcu stwierdził. – czy będzie pan taki dobry i przekaże swoim kolegom kilka słów ode mnie. Uruchomię gruntowne i szczegółowe śledztwo, dotyczące tego co się tam wydarzyło, i najszybciej jak to tylko będzie możliwe wyślę moim zwierzchnikom na Ziemi, wstępny raport ze wszystkimi zebranymi w jego wyniku dowodami. Nikt z panów, ode mnie ani od jakiejkolwiek osoby pozostającej pod moim dowództwem, nie otrzyma żadnych dalszych informacji. Co więcej, każda próba pozyskania informacji tego typu, będzie skutkowała aresztowaniem osoby, bądź osób, w to zamieszanych. Czy to jasne?

– Całkowicie jasne, pułkowniku Thayer – delikatnie odparł Ronald Black. – I najzupełniej satysfakcjonujące.

****

– **W**iedzieliśmy już od mniej więcej ośmiu tygodni – powiedział mężczyzna o nazwisku Cranehart. – że ta rzecz nie jest tym, co się wszystkim wydawało… to jest fragmentem broni Geestów.

Popchnął przedmiot o którym dyskutowano, po blacie biurka, w kierunku Komisarza Sanforda i Ronalda Blacka. Żaden z nich nawet nie próbował go zatrzymać, spojrzeli tylko na niego, a następnie z uwagą skierowali swoje oczy z powrotem na twarz Craneharta.

– To jest oczywiście kopia, naprawdę doskonała – kontynuował Cranehart. – Została zrobiona z wykorzystaniem profesjonalnego sprzętu do fałszerstw. Jesteście panowie, jak myślę, świadomi, że dzięki temu powinna być nie do odróżnienia od oryginalnej broni. Jednak… nie będzie chyba żadnej szkody, jeśli panom o tym powiem… technologia Geestów, rozwijała się w nieco odmiennym kierunku, niż nasza. Do produkcji swojej broni, używają oni pewnych pierwiastków śladowych, które my dopiero zaczynamy się uczyć, jak utrzymywać w stanie stabilnym. To jest sprawa, której nasz rząd nie rozpowszechnia do wiadomości publicznej, nie chcąc, aby Geestowie dowiedzieli się od jeńców, jak wiele informacji udało nam się o nich zebrać.

– Przyrząd, przy pomocy którego sporządzono tę kopię, nie miał oczywiście do dyspozycji takich pierwiastków. Wykorzystał więc ich prostsze odpowiedniki, i w ten sposób z sukcesem wyprodukował niemal identyczny model. Prawdę mówiąc, jedyną znaczącą różnicą jest to, że ta broń, nawet gdyby była w całości, prawdopodobnie nie mogłaby strzelać. – Uśmiechnął się lekko. – Ale to, jak zapewne panowie się zgodzicie, jest różnicą naprawdę znaczącą! Zaraz, jak tylko ta tak zwana broń Geestów została przebadana, wiedzieliśmy od razu, że mogła ona zostać wyprodukowana jedynie przez istoty ludzkie.

– Tak więc – trzeźwo podsumował Komisarz – to ewidentne, że odkrycie dokonane podczas naszego pobytu na Roye, było umyślnym oszustwem…

Cranehart kiwnął potwierdzająco głową.

– Bez wątpienia.

Ronald Black powiedział:

– Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego panowie utrzymywaliście to w sekrecie. Nie musieliście przecież ujawniać żadnych tajemnic. Tymczasem fala krytyki społecznej, potępiającej to pozorne niezdecydowanie rządu, aby podjąć działania zmierzające do wyjaśnienia sprawy –– to jest do pośpiesznego objęcia ochroną, zagrożonych części Terytoriów –– osiągnęła niemal alarmujące rozmiary. Moglibyście panowie powstrzymać ją jednym obwieszczeniem, jeszcze zanim się na dobre rozpoczęła dwa miesiące temu.

– No cóż, bez wątpienia – odparł Cranehart. – Były jednak również pewne inne okoliczności. Nawiasem mówiąc, panie Black, doceniamy bardzo fakt, że media informacyjne, pozostające pod pańską kontrolą, wykazały w tej materii daleko posuniętą powściągliwość.

– Za co – sucho stwierdził Black, – teraz ja sam sobie jestem bardzo wdzięczny.

– Jeżeli chodzi o innych – kontynuował Cranehart, – rząd już wcześniej przetrwał podobne okresy krytycyzmu. To nie jest takie istotne. Natomiast ważną rzeczą jest to, że wojna z Geestami, towarzyszy nam już obecnie przez okres przekraczający długość życia człowieka… i dla wielu ludzi zbyt trudne staje się uświadomienie sobie tego, że wszelkie działania, które mogą osłabić naszą zdolność do jej prowadzenia, w żaden sposób nie mogą być tolerowane.

Ronald Black powiedział powoli:

– A więc chcecie opóźnić wyjaśnienie sytuacji, do czasu kiedy nie uda się wam wykryć, kto jest odpowiedzialny za ten szwindel.

– Ze swojej strony jesteśmy zainteresowani – powiedział Cranehart, – jedynie ważnymi ludźmi… niebezpiecznymi ludźmi. Nie obchodzi nas za bardzo, kto jeszcze jest winien całej tej sytuacji. To, proszę zrozumieć, jest kwestia pragmatyzmu, a nie sprawiedliwości. – Przez chwilę przyglądał się twarzom po drugiej stronie biurka, nieco zaintrygowanym, ale uprzejmie powątpiewającym, a następnie kontynuował: – Kiedy opuścicie panowie ten pokój, zostaniecie zaprowadzeni do biura, gdzie otrzymacie pewne papiery do podpisania. To będzie pierwszy krok.

****

Przez kilka sekund panowała cisza. Ronald Black wyciągnął papierosa z platynowej papierośnicy, postukał nim delikatnie o biurko, włożył do ust i zapalił go. Cranehart ciągnął dalej:

– Gdyby fałszerstwo zostało natychmiast ujawnione, rozwikłanie tego konkretnego spisku, byłoby prawdopodobnie niemożliwe. W tamtym momencie nikt nie podejmował w tej sprawie żadnych szczególnych działań. Dopiero po kilku dniach, kiedy odkrycie najwyraźniej potwierdzone zostało przez nasze milczenie, zaczęliśmy obserwować próby normalnych manewrów w sektorze przemysłowo finansowym. Gdyby w toku były poważne przesunięcia w polityce wojennej, na przykład gdyby w Segmentach Terytoriów, poprzednio uważanych za pozostające poza zasięgiem wypadów Geestów i dlatego zabezpieczonych przed atakiem, teraz miałaby zostać utworzona jedna lub kilka kluczowych baz wojskowych, ktoś na Ziemi mógłby wyciągnąć z tego niezłe zyski.

– A czy nie jest tak zawsze? – wymamrotał pod nosem Black.

– Oczywiście. To zupełnie normalna procedura, która zazwyczaj nie obchodzi rządu. Ze sporą pewnością można przewidzieć, która grupa lub grupy, w końcu wyciągną największe zyski z całej tej sytuacji. Ale w ciągu kilku ostatnich tygodni, oczywiste stało się, że wygrywa tu ktoś inny… ktoś, kto mógł odnieść zwycięstwo jedynie dzięki szeroko zakrojonym i starannym przygotowaniom do tej konkretnej sprawy.

– To nie było normalne, i na wystąpienie takiego właśnie nienormalnego wzorca, cierpliwie czekaliśmy. Udało nam się wykryć, że zaangażowanych jest w to siedmiu ludzi. Ci ludzie pozbawieni będą korzyści, na które liczyli.

Ronald Black pokręcił przecząco głową i powiedział:

– Popełnia pan poważny błąd, Cranehart. Nie podpiszę żadnych papierów.

– Ani ja – twardo zakomunikował Sanford.

Cranehart potarł koniuszkiem palca bok nosa i powiedział refleksyjnie:

– Nikt nie będzie panów do tego zmuszał… A przynajmniej nie bezpośrednio. – Skinął głową w kierunku okna. – Na lądowisku, tam na zewnątrz, stoi samochód powietrzny. Wcale nie jest wykluczone, że jutro, powiedzmy wczesnym rankiem, ten samochód powietrzny zostanie znaleziony rozbity w górach, jakieś czterysta mil na północ stąd. Naturalnie, mamy bardzo przekonywującą historię, przygotowaną na potrzeby takiej właśnie ewentualności.

Sanford zaczął powoli blednąć. Zaprotestował głośno:

– A więc, ma pan zamiar popełnić morderstwo!

Cranehart milczał przez kilka sekund.

– Panie Sanford – powiedział potem. – Pan, jako pracownik Urzędu Terytorialnego, bardzo dobrze zdaje sobie sprawę, że wojna z Geestami, pociągnęła za sobą do dzisiaj czterysta milionów ofiar w ludziach. Ta właśnie okoliczność, zobowiązuje pański rząd, do nalegania na pańską pełną współpracę. I radzę panu szczerze, aby się pan na nią zdecydował.

– Ale nie ma pan najmniejszego dowodu! Nie pan nic, jedynie poza przypuszczeniami…

– Proszę się nad tym zastanowić – powiedział Cranehart. – Spisek tego rodzaju, jaki opisałem, w obecnych warunkach stanowi zbrodnię główną. Czy naprawdę jest pan pewien, że wolałby pan, abyśmy kontynuowali poszukiwania dowodów?

Ronald Black powiedział ochrypłym głosem.

– A jaki będziemy mieli z tego zysk, jeśli wybierzemy współpracę?

– No cóż, nie możemy pozwolić sobie na pozostawienie na wpływowych pozycjach ludzi pańskiego pokroju, panie Black – przyjaźnie powiedział Cranehart. – I jestem pewny, że rozumie pan również, że na Ziemi zdecydowanie zbyt trudno byłoby pana otrzymać pod właściwym nadzorem…

****

Celia Adams powiedziała stojąc w drzwiach domku.

– Wydaje mi się, że to oni, Phil. Oba samochody zaczęły krążyć wokół domu.

Phil Boles podszedł za nią do drzwi i popatrzył w górę. Był dopiero wczesny wieczór. Słońce Roye właśnie niedawno zaszło, i w górze na razie

pokazało się jedynie kilka gwiazd. Niebo nad morzem nadal było niemal zupełnie jasne. Po chwili rozpoznał dwa samochody powietrzne, zataczające w górze obszerne, powolne łuki. Spojrzał na zegarek.

– Dwadzieścia minut spóźnienia – zauważył. – Ale to nie może być nikt inny. I gdyby nie przylecieli tu wszyscy razem, nie potrzebowaliby dwóch samochodów. – Zawahał się przez chwilę. – Nie wiemy w jaki sposób to przyjmą, Celia, ale być może już wcześniej zdecydowali, że lepiej dadzą sobie radę bez nas. – Skinął głową w stronę pobliskiej krawędzi klifu. – Krótki spacerek tam, a potem długi lot do wody! A więc nie pozwól, aby cię zaskoczyli.

Odpowiedziała mu zimnym tonem.

– Nie mam takiego zamiaru. I używałam już kiedyś tej broni.

– Nigdy w to nie wątpiłem. – Phil sięgnął ręką za drzwi, wziął stojącą obok ciężkiego karabinu maszynowego latarnię sygnałową i wyszedł na zewnątrz. Skierował latarnię na samochody i szybko trzy razy dotknął przycisku zapalającego. Po chwili od strony prowadzącego samochodu w odpowiedzi pojawiły się dwa rozbłyski.

A więc Wayne Jackson jest w tym pierwszym samochodzie – powiedział Phil. – Teraz zobaczmy, co zrobią. – Odniósł lampę na jej miejsce za drzwiami i ponownie wyszedł na zewnątrz, stając mniej więcej dwadzieścia stóp w bok od Celii. Samochody powietrzne znikły w głębi lądu, ale po kilku minutach powróciły, lecąc na pułapie wierzchołków drzew. Jeden z nich wylądował w zupełnej ciszy pomiędzy domkiem a krawędzią klifu, drugi podążał za nim, ale opadł na ziemię sto jardów dalej, i pozostał w tym miejscu. Phil spojrzał na Celię i powiedział do niej cicho:

– Uważaj na tamtego!

Niemal niedostrzegalnie skinęła głową, trzymając prawą rękę schowaną w kieszeni kurtki.

W stojącym przed nimi samochodzie otworzyły się drzwi od strony domku. Ze środka wysiadł major Wayne Jackson w stroju myśliwskim, ale bez kapelusza, i popatrzył na nich. Powiedział:

– Czy jest tu jeszcze ktoś?

– Tylko Celia i ja – odparł Phil.

Jackson odwrócił się i powiedział coś do środka samochodu. Po chwili z pojazdu wysiadło dwu ludzi, ubranych podobnie jak on. Phil rozpoznał Ronalda Blacka i Sanforda. Cała trójka ruszyła w stronę domku i zatrzymała się kilkanaście stóp przed nimi.

Jackson stwierdził z ironią:

– W drugim samochodzie jest pięciu pozostałych naszych byłych partnerów ze strony ziemskiej. Pomimo waszych usilnych nalegań na spotkanie całej grupy, nie chcą oni, abyście ty i Celia zobaczyli ich twarze. Życzą sobie, abyście nie mogli ich zidentyfikować. – Dotknął klapy kurtki myśliwskiej. – Będą słyszeli wszystko co powiecie przez ten komunikator. Mogliby z wami porozmawiać, ale nie zrobią tego, chyba że uznają to absolutnie niezbędne. Niestety będziecie musieli uwierzyć mi na słowo, że wszyscy jesteśmy tu obecni.

– To nam zupełnie wystarczy – powiedział Phil.

– W porządku – kontynuował Jackson. – A teraz powiedz co chcieliście osiągnąć zmuszając nas do podjęcia takiego ryzyka? Chciałbym, żeby to było jasne. Pułkownik Thayer nie został co prawda oskarżony o współudział w oszustwie z bronią Geestów na Roye, ale już z samej tej afery wyszedł z podbitym okiem. Nie zapominajcie przy tym, ze planeta, z jej statusem kolonialnym, technicznie podlega pod prawodawstwo wojskowe, które obejmuje również cywili. Jeżeli Silasowi Thayerowi uda się położyć swoje łapy na osobach winnych całej sprawy, sytuacja stanie się znacznie bardziej przykra, niż jest obecnie.

****

Phil zwrócił się do Ronalda Blacka.

– A zatem, co z wami dwoma? Kiedy tylko wasze nazwiska ponownie pokazały się na liście transferowanych, Thayer musiał się domyśleć dlaczego.

Black pokręcił przecząco głową.

– Obydwaj skorzystaliśmy z przywileju zmiany naszych nazwisk przed wydaleniem z Ziemi. On nie wie, ze jesteśmy na Roye. Nie mamy zamiaru pozwolić mu, aby się dowiedział.

Phil dopytywał dalej.

– Czy podjęliście jakieś przygotowania aby ponownie wydostać się z Roye?

– Przed opuszczeniem Ziemi? – Black pokazał zęby, w pozbawionym wesołości uśmiechu. – Boles, ty nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak kompletnie i szybko ludzie z rządu odcięli nas od wszystkich naszych zasobów! Wierz mi, nie dano nam żadnej okazji, aby sporządzić jakiekolwiek plany ucieczki od wygnania.

Phil popatrzył na Celię.

– W takim przypadku – powiedział, trochę zbyt głośno, – lepiej zobaczmy, czy sami nie musimy natychmiast jakichś przygotować.

Jackson spytał, wpatrując się w niego.

– O czym ty mówisz, Phil? Chyba zdajesz sobie sprawę, że Silas Thayer robi wszystko co tylko może, aby dowiedzieć, kto mu wyciął ten numer. Wcale nie jestem pewny, czy mnie również nie podejrzewa. A jeśli nas z tym powiąże, to polecą nasze głowy. Jeżeli świta ci w głowie jakiś szalony pomysł wydostania się teraz z planety, to pozwól, że ci wyjaśnię, że w ciągu następnych kilku lat nie możemy zaryzykować nawet najmniejszego ruchu! Tylko jeśli będziemy siedzieć cicho jak myszy pod miotłą, będziemy bezpieczni. My…

– Wcale nie wydaje mi się, abyśmy byli bezpieczni – stwierdził Phil.

Po jego prawej stronie, Celia Adam ostro dodała:

– Ten dżentelmen w tym drugim samochodzie, który właśnie zaczął opuszczać okno, lepiej aby je podniósł z powrotem! Jeżeli ma dostatecznie

dobry wzrok, to powinien zauważyć, że mam broń wycelowaną prosto w niego. Tak, teraz już dużo lepiej! Dalej, kontynuuj Phil.

– Czy wam obojgu odbiło? – zawołał Jackson.

– Nie – odparła Celia. Roześmiała się z niespodziewaną nerwowością w głosie i dodała: – Chociaż nie wiem sama, jakim cudem tak tego uniknęliśmy! Tak nam się tylko zdawało, że reszta z was, może sobie pomyśleć, że lepiej by było, gdybyśmy ja i Phil przestali się tu gdzieś kręcić, Wayne.

– To nonsens! – oburzył się Jackson.

– Być może. W każdym razie, lepiej nawet tego nie próbujcie. Nawet gdyby wam się udało, nie zrobicie sobie przysługi. Lepiej posłuchajcie, co mamy wam do wam powiedzenia.

– Posłuchajcie… czego? – dopytywał się Jackson z rozdrażnieniem w głosie. – Mówię wam przecież, że wszystko będzie w porządku, jeśli tylko nie popełnimy jakiegoś błędu. Jedynymi rzeczywistymi dowodami, były twój duplikator i oryginalna broń. Ponieważ ich się pozbyliśmy…

– Nie pozbyliśmy się pistoletu, Wayne – powiedział Phil. – Ciągle go mam. Nie ośmieliłem się go zniszczyć.

– Ty… co przez to chciałeś powiedzieć?

– Byłem przy Beulah, kiedy umarła, w szpitalu w Fort Roye – powiedział Phil. Dodał w kierunku Ronalda Blacka. – To było dwa dni po tym, jak wasza siódemka przyleciała tutaj statkiem.

Black skinął potwierdzająco głową, jego oczy były czujne i skoncentrowane.

– Major Jackson informował mnie o tym.

– Oczywiście, była bardzo słaba, ale zupełnie przytomna – kontynuował dalej Phil. – Bardzo dużo mówiła… rozpamiętywała swoje życie, i to raczej w szczęśliwym tonie. W końcu wspomniała o broni Geestów, i o tym jak wujek William miał w zwyczaju zabawiać chłopców… to jest Wayne’a i mnie… swoimi historyjkami o bitwie pod Gunderlandem, i o tym jak zdobył tam tę broń.

Jackson zaczął zdanie.

– I co to ma do…

– On nie przywiózł tego pistoletu stamtąd – odparł Phil. – Beulah powiedziała mi, że wujek William przybył tu z Ziemi, z pierwszym transportem osadników, i nigdy więcej, przez całe swoje życie, nie upuścił Roye.

– On… a więc…

Phil powiedział:

– Nie rozumiesz tego? On znalazł tę broń tu, na Roye. Beulah myślała, że to było bardzo zabawne. William był starym głupcem, jak powiedziała, ale najlepszym kłamcą jakiego kiedykolwiek znała. Pewnego dnia wrócił z tą rzeczą, z włóczęgi po kraju, i powiedział że wygląda podobnie jak broń Geestów, na zdjęciach które oglądał. Umieścił więc na niej tę inskrypcję, tak dla zabawy. – Phil wziął głęboki oddech. – Wujek William znalazł ją jak leżała w stosie popiołu, w miejscu w którym ktoś obozował kilka dni wcześniej. Myślał, że to był naziemny ścigacz, z jakimiś bogatymi sportsmenami z Ziemi, którzy przylecieli tu na Roye, aby zasmakować

polowania na innych, egzotycznych planetach, oraz że jeden z nich wrzucił ten połamany dziwaczny pistolet do ogniska, aby się go pozbyć.

– To było trzydzieści sześć lat temu. Beulah zapamiętała, że stało się to na rok przed moim urodzeniem.

Przez kilka sekund panowała kompletna cisza. W końcu Ronald Black powiedział ze spokojem:

– I jaki z tego morał, Boles?

Phil spojrzał w jego stronę.

– Taki morał, że Norm Vaughn miał rację co do tego, ze kiedyś mieszkały tu jakieś całkiem inteligentne stworzenia. Znaleźli ich Geestowie i eksterminowali, tak jak to mają w zwyczaju. To mogło zdarzyć się przed kilkoma wiekami. Następnie, trzydzieści sześć lat temu, jeden z ich statków zwiadowczych zaplątał się tu niezauważony, znajdując na planecie naszych osadników. Rozejrzeli się tu nieco, i ponownie odlecieli.

Wyjął pistolet Geestów z kieszeni i podniósł go na ręce.

– Mamy tutaj dowód – powiedział. – Mieliśmy go w rękach przez cały ten czas, tylko tego nie wiedzieliśmy.

Ronald Black powiedział sucho.

– Być może mamy ten pistolet. Ale nie mamy żadnego, najmniejszego nawet dowodu, że ta rzecz jest tym, co myślimy.

– Wiem o tym – odparł Phil. – Teraz, kiedy umarła Beulah… no cóż, w gruncie rzeczy, nie możemy nawet udowodnić, że William Boles nigdy nie opuszczał planety. W tych dawnych czasach, nie utrzymywano nawet żadnych godnych uwagi rejestrów. – Milczał przez chwilę. – Przypuśćmy – powiedział, – że mimo wszystko będziemy to ciągnąć dalej. Oddamy tę broń, z całą historią, którą wam przed chwilą opowiedziałem…

Jackson wydał z siebie ochrypły śmiech.

– To by nas szybko zaprowadziło na szubienicę, Phil!

– I nic ponadto?

– Nic ponadto – powiedział Black nieodwołalnie. – Dlaczego ktoś miałby uwierzyć w tę historię, zwłaszcza teraz? Jest cała masa dużo bardziej prawdopodobnych dróg, jakimi broń Geestów mogłaby trafić na Roye. Ta broń jest namacalnym dowodem oszustwa, ale to wszystko.

Phil spytał:

– Czy nikt z obecnych… włączając ostrożnych dżentelmenów w tamtym samochodzie… nie zgodzi się ze mną?

Ponownie zapanowała cisza. Phil wzruszył ramionami, podszedł do krawędzi klifu, cofnął ramię i wyrzucił broń Geestów wysoko w górę i daleko w morze. Nadal bez słowa, pozostali zwrócili głowy w jej stronę, i spoglądali jak wpada do wody. Potem ponownie popatrzyli na niego.

– Ja sam nie myślałem dużo o tej możliwości – urywanym głosem powiedział Phil. – Ale ktoś z was naprawdę mógłby to zrobić. W porządku, *my* wiemy, że Geestowie wiedzą, że tu jesteśmy. Ale nie jesteśmy w stanie przekonać do tego nikogo innego. A w ciągu ostatnich paru lat, wojna znowu zdaje się zwalniać. W przeszłości to zawsze oznaczało, że Geestowie szykują jakąś nową, zaskakującą operację.

– Teraz inna interesująca rzecz. Sprawa sposobu wydostania się z Roye. Nie da się tego zrobić, chyba że któryś z was poczynił jakieś

wcześniejsze przygotowania, po stronie Ziemi. Gdyby dało się to zrobić w jakiś inny sposób, wyniósł bym się z tego miejsca już dziesięć lat temu.

Ronald Black odpowiedział ostrożnie.

– Niestety, Boles. Nie poczyniono żadnych takich przygotowań.

– A więc to tak – stwierdził Phil. – Przypuszczam, że teraz już wiecie, dlaczego pomyślałem sobie, że dobrze by było, aby nasza grupa zebrała się tu razem. Dziesięciu tytanów intelektu! Cóż, sami siebie wmanewrowaliśmy w niezły pasztet! Teraz musimy pomyśleć, czy jest jakaś możliwość –– jakakolwiek możliwość! –– wydostania się z tego wszystkiego.

Z komunikatora w klapie Jacksona, przemówił metaliczny głos.

– Majorze Jackson?

– Tak? – powiedział Jackson.

– Proszę przekonać pannę Adams, że nie ma już dłużej potrzeby trzymania naszego samochodu na celowniku. W świetle wymienionych tu zagrożeń, wydaje nam się, że lepiej będzie jeśli wysiądziemy, i przyłączymy się do narady.

****

AKTA URZĘDU TERYTORIALNEGO, ROK 2345

… Ogólnie znaną rzeczą jest, że kampania w 132 Segmencie oznaczała punkt zwrotny w Wojnie z Geestami. Po przeniesieniu pułkownika Silasa Thayera na Ziemię, na kluczowej w tym rejonie planecie Roye charyzmatyczne dowództwo objął major Wayne Jackson, który wraz ze swoimi niestrudzonymi i wykazującymi niezwykłe zdolności asystentami, a szczególnie prezesem ZPK Bolesem, w ciągu dwunastu lat zmienił ten technicznie słabo ufortyfikowany i rzadko zaludniony świat, w naprawdę śmiertelną pułapkę dla wszelkich sił inwazyjnych. Niemal połowa floty Geestów, która w końcu się tam pojawiła, została zniszczona w czasie pierwszego tygodnia po lądowaniu, a jedynie kilka z pozostałych statków, było uszkodzonych na tyle nieznacznie, aby ponownie wystartować. Nieprzyjacielska flota ratunkowa, składająca się z, jak się ocenia, czterdziestu procent sił kosmicznych Geestów, jakie im jeszcze pozostały, została przechwycona w 134 Segmencie przez połączone siły Ziemi, pod dowództwem admirała McKenny, i praktycznie unicestwiona.

Podczas kolejnych dwóch lat…

KONIEC